

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

27

(Ciąg dalszy).

— A któż się cieszy? — spytała pani.
— Któżby, jeśli nie Polacy do spółki z żydami; zobacz pani twarz — oburzał się Bolcew — gdy przyjdzie, kłamliwa zresztą, wiadomość o marnem powodzeniu Japończyków! Jakie uśmiechy, jakie zacieranie rąk, jaka radość?! A cóż mówić o zagranicznych polskich dziennikach?! Szaleją i nie widzą, że swoim tem szkodzą, tu, w Królestwie.
— No, no, to już przesada — rzekł Sudkiewicz z grymasem niechęci — my żyjemy z polskimi rodzinami, i moja żona i Olga są Polki a nie cieszyły się, ani cieszą.
— Tak, tak — dodał Lednoj — co racya, to racya.
— Ależ, bo państwo żyjecie z Polakami ucywilizowanymi — bronił się Bolcew — z możliwymi w naszym towarzystwie... ale ci inni, a zwłaszcza gawiedź uliczna, jakie śmiechy wesołe, gdy nasze wojska cofają się.
— I to prawda — pospieszył Lednoj — oto idę ulicą, a ulicznik ze śmiechem, z wykrzykiem woła: zwycięstwo! Kupuję dziennik, a tam... znowu się cofają.
— I wiecie państwo — prawil dalej Bolcew — tak tę hołotę radują Japończycy, że, jak nam doniesiono, w całym Królestwie zmniejszyła się agitacja socjalistyczna.
Olga odczuwała głęboko ten ton groźby i knuta w rozmowie, ale starała się o spokój; wzmianka jednak o socyalistach poruszyła ją, spojrzała z pod oka na Bolcewa i rzekła:
— Ten spokój socyalistów pozwoli panu odpocząć.
— Alboż my mamy kiedy odpoczynek — powiedział zgryźliwie — nie to, to drugie.
— I kto wie, czy nie jest to ich wybieg — zaśmiał się Lednoj — aby usnąć was.
— E, nie. Oni wiedzą, że wybiegi ich z nami nigdy się nie udają. Zresztą zrobiliśmy nieszkodliwymi najniebezpieczniejszych agitatorów, a tłum będzie cicho.
Mimowolnie przeszedł Olę dreszcz trwogi; a jeśli wśród aresztowanych jest on, Bolek?
Danoby jej jednak znać, powiedzianoby jej, zaszeptano uspokojenie. Ale kto? Kto, prócz Heleny, wie, że on dla niej jest tak miły, tak drogi?
Jaka szkoda, że nie widziała się dzisiaj z Heleną; pójdzie wieczorem, byle się ci goście rozeszli.
Wstano od stołu i w salonie rotmistrz Lednoj, posiadający ładny baryton, który był pierwszą przyczyną przychylności dla rotmistrza pani Sudkiewiczowej, już odśpiewał ładną arję z „Rigoletta“ i przygotowywał się do pieśni narodowej rosyjskiej, gdy Jan, zbliżywszy się do Olgi, szepnął jej, iż jakaś pani przyszła do niej.
Bardzo mile została Olga zdziwiona, poznawszy w przybyłej Helenę. Zaprosiłszy ją do swego pokoju, kazała podać herbatę, usprawiedliwiwszy przed ciotką opuszczenie towarzystwa.
— Siadaj, moja droga... właśnie wybierałam się do ciebie, pragnęłam zasięgnąć nowin.
— I byłabyś mnie nie zastała — uśmiechnęła się Helena — byłam zajęta całe popołudnie.
— Czemże to?
— Najpierw miałam odczyt o dobroczynnych skutkach strejku, dla żon i córek robotników z dawnej fabryki Buczka. Następnie po zajmującej dyskusji, widziałam się z grupą robotnic i rozdałam nasze broszury, a obecnie jestem u ciebie z nowiną.
— Wesoła, czy smutna? — spytała Olga, a podniósłszy oczy na Helenę, dodała — już widzę, że z dobrą, mów!
— Zanadto jesteś domyslna — uśmiechnęła się — bo nowina ani wesoła, ani smutna, a nawet oczekiwana... Walczak tu przyjeżdża.
— Walczak?! Jakże to dobrze, bardzo go lubię, przypomni nam dawne, dobre czasy. I kiedyż będzie?
— Otóż to właśnie pytanie, które chciałam zadać tobie. W ostatnim liście wspomina, że widział się z moimi rodzicami i ma dla mnie ustne polecenia, ale o tak bliskim przyjeździe swoim ani słowem nie wspomniał.

— Więc wy ze sobą korespondowaliście? Dlaczegoż mi nie nie wspomniałaś?
— Nie widziałam w tem nic szczególnego, to raz — mówiła zarumieniona — a następnie nie pytałaś o to.
— A tak, to prawda — zaśmiała się Olga — nie zapytywałam o to. Wyborna jesteś... skąd masz wiadomość o jego przyjeździe obecnym?
— Dowiedziałam się od jednego towarzysza, który go zna, bo wiesz, Walczak bywa często w Dąbrowie, Zawierciu, Częstochowie i utrzymuje żywe stosunki z robotnikami; i on pracuje i bardzo naraża się dla partyi. Już ja wiem z własnego doświadczenia, co znaczy przewozić książki i proklamacye.
— Ależ wiem, kochana, że Walczak jest bardzo energiczny, mówił o tem Bolek, tj. Żalecki — zarumienila się.
— I co ci mówił? — spytała z ciekawością.
— Brak nam tu Walczaka; to człowiek, który ma głowę i ręce do roboty.
— I wiesz, Olgo, to prawda... ale wracając do rzeczy, przyszedł do ciebie, bo raz mógł ci coś Buczek powiedzieć, a następnie ty masz znajomości z wybitniejszymi działaczami, oni napewno coś wiedzą, bo taki Walczak nie przyjeżdża bez „ale“ do Warszawy.
— Buczek mi nie mówił, dziś nie widziałam go nawet... a kogóż znam więcej?... Jeden Komar, mógłby dać wskazówkę, ale dziś niedziela i biura fabryczne zamknięte...
— Moja złota, pomyśl tylko dobrze — prosiła Helena — może znajdziesz sposób odkrycia Komara, bo tak mi zależy na widzeniu się najszybszym z Walczakiem; jak wiesz, on ma dla mnie nowiny z domu.
— Rozumiem to — uśmiechnęła się Olga — ale jak to zrobić?
Przez dobrą chwilę milczała, wreszcie powiedziała z wahaniem:
— Tylko dla ciebie zrobię pewnego rodzaju nadużycie... jest ktoś na Lesznie, który, przypuszczam, że wie, gdzie jest Komar, ale wierz mi, on może nam wziąć za złe, że niepokoiimy go takimi pytaniami.
— Czy ten Komar taki straszny? — zaśmiała się Helena — i on ma mózg, krew, serce, rozumie, że można pragnąć widzieć kolegę, przyjaciela.
— Jestem pewna, że on nas wydrwi i nie powie ani słowa.
— Oldziu moja, spróbujmy, co ci to szkodzi? Już ja wszystkie drwiny biorę na siebie, powiem, że to ja namówiłam ciebie do tego głupstwa... No, chodźmy!
— Ha, jeśli chcesz koniecznie, pójdę... ale tylko dlatego, Helenko, że odczuwam ciebie, rozumiesz?
— Nie, nie chcę nie rozumieć... i cicho już, Olgo, kiedyś ci to wytłumaczę.
— Z pytaniem, czy bez pytania? — zaśmiała się Olga, zmieniając rękawiczki.
Wyszły i na ulicy ogarnął ich zaraz właściwy Warszawie żywy ruch, wesołość i energia życia, wylewającego się z hałasem i śmiechem po za obręcze i różnorodne kleszcze, któremi rząd hamuje i ścisła każdy żywszy objaw, nie tylko narodowy, ale i towarzyski. W potokach światła latarni przelewała się fala ludzi na chodnikach ze śmiechem, dowcipami, ze szelestem spodnic, stukiem bucików, a ulicą jechały w nieprzerwanym szeregu dorożki, dzwoniły tramwaje, przebiegały rowery i automobile.
Szły szybko, ale zanadto powolnie dla Heleny, która wreszcie postawiła na swoim, że pojechały dorożką.
Wysiadły na rogu Wroniej, a Olga rzekła:
— Ty, Heleno, idź Lesznem do pierwszej przeczni na prawo, do ulicy Żelaznej i wrócisz się do Wroniej. Gdybym nie wróciła jeszcze, powtórzysz ten spacer, aż do mego przyjaciela.
— Cóż za tajemnice nadzwyczajne? — zaśmiała się z ironią.
— Nie mam prawa bez potrzeby wskazywać naszych towarzyszy; to nie moja tajemnica, lecz osoby trzeciej.
— Już dobrze... idź... nie nudź!
Olga weszła po chwili do sklepiku, powitana przez Maryę, która ją już знаła.
— Mam do was prośbę, towarzyszek — zaczęła Olga z wahaniem.
— Mówcie śmiało, znamy się.
— Podobno dziś ma przyjechać jeden z naszych towarzyszy z zagranicy. Zależy mi na pewności, czy i kiedy przyjedzie.
— A cóż ja wam poradzę?
— Przypuszczam, że towarzysz Komar jest powiadomiony o tem dokładnie, gdyż przyjeżdżający

przywozi dla nas zwykle transporty. Otóż, czy nie moglibyście mi wskazać, gdzie znajdę towarzysza Komara?
— Nie, tego nie mogę zrobić, chociażbym się domyślała, gdzie jest. Czy zobaczycie tego towarzysza kilka godzin wcześniej, czy później, partya nie nie straci na tem. Co innego, gdyby szło o życie, bezpieczeństwo, szpiegostwo... ale w tym wypadku nie mogę wam nic pomóc.
— Przeczynałam to — westchnęła Olga, mając na myśli rozczarowanie Heleny — i przepraszam was, towarzyszek, za niestosowność mej próby — podała rękę na pożegnanie.
Już była blisko drzwi, gdy kupcowa zawołała:
— Wróćcie się... żal mi was, towarzyszek. Jeśli ten, kogo się spodziewacie, ma transport... możliwym jest, że albo dziś około dziesiątej przyjedzie, albo rano o piątej, bo na jutro obiecano... broszury. Ale to mój domysł tylko... nie nie wiem pewnego i za zawód nie miejcie do mnie żalu lub pretensyi.
— Dziękuję wam serdecznie — uściśnęła jej rękę — zawsze to nadzieja jakaś.
— Szczęśliwa, że możecie się ludzić — westchnęła kupcowa.
Olga pospieszyła w kierunku Żelaznej, a spotkawszy Helenę:
— Wiedziałam, że nie wypada trudzić towarzysza Komara takimi pytaniami, to mi potwierdzono.
— Dobrze... ale co dalej?
— Są tylko domysły... dalekie prawdopodobieństwo, że może Walczak przyjedzie albo dziś około dziesiątej w nocy, albo jutro o piątej rano... tak mi powiedziano.
Helena spojrzała na zegarek.
— Jedziemy, Olgo, na kolej, możemy się spotknąć, już dziesięć na dziesiątą, a to taki kawał.
Gdy przyjechały na dworzec warszawsko-wiedeńskiej kolei, oznajmiono im, że pociąg z Granicy będzie za pięć minut. Czekają blisko wejściowych drzwi na peron, umawiając się, że najlepiej oczekiwać przy wyjściu, aby się nie rozminąć z przyjeżdżającymi.
Widziały przez oszklone drzwi, jak żandarmi, chłop w chłopa wysocy i silni, rozstawiali się na peronie, następnie przyszli uzbrojeni w szable strażnicy komory celnej i rozstawili się również wzdłuż peronu, tylko głębiej od żandarmów.
Lokomotywa z czerwonymi ślepiami, ziejąca dymem, wbiegła po szynach najbliższych peronu, drzwi wejściowe otwarto na rozcież i wyczekujący wtoczyli się na peron, rozbiegając się na wszystkie strony.
Wagony opróżniały się z podróżnych. Najpierw... głośnym szwargotem, potracając się, wybiegli zdy, pędząc co tchu z tobołkami. Następnie zjawiali się inni podróżni, a że to była niedziela, dużo osób wracało z wycieczek podmiejskich. Na twarzach widać było zmęczenie, ale uśmiech zadowolenia nie zniknął, a zielone gałązki z drzew, kwiaty polne przyozdabiały tak mężczyzn, jak kobiety. Wreszcie nadchodzili właściwi podróżni i nagle posłyszała Olga radosny głos Heleny:
— Jest!... Jest!
Olga spojrzała w kierunku oczu Heleny i również dostrzegła Walczaka, w szarym, eleganckim garniturze marynarkowym, w jasnym kapeluszu; z niezamąconą powagą niósł dość wielki kuferek ręczny.
Widocznie poznał koleżanki, bo przyspieszył kroku i z rozjaśnioną twarzą, podając rękę:
— Witajcie... co za niespodziane spotkanie... jak to dobrze — lekko uściśnął rękę Olgi, a może za długo trzymał w swej dłoni małą rączkę Heleny, nie odrywając od niej oczu.
— Witam serdecznie... co słychać? — szeptała Helena zarumieniona.
— Jedzie ze mną Buczek, podzieliliśmy się pakunkami... ja to — wskazał na kuferek położony — on transport.
— Gdzież on? — spytała Olga.
— Właśnie idzie.
Był o jakie sześć kroków, a mając w jednej ręce kuferek, w drugiej dość wielki pakunek owinięty papierem, kłaniał się skinieniem głowy i witał uśmiechem.
Wtem do idącego podszedł strażnik komory celnej, zagroził mu dalszą drogę i głośno spytał po rosyjsku:
— Co pan tu ma... proszę pokazać — i położył rękę na pakiecie.
Olga zbladła i zachwiała się, a niemniej przebiegli się Helena i Walczak. Chwila oczekiwania, co będzie, wydała im się nieskończenie długą i roz-